ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XVIII. Warszawa, dnia 5 czerwca 1926 roku. Nr. 23.

WACŁAW SIEROSZEWSKI. *(Z cyklu „Na Szlakach Świata").*

ZA KOŁEM BIEGUNOWEM.

4)

— Ren?... roześmiał się jakut. — Ren ma takie ostre kopyto, że skałę przebije... Zresztą mech rośnie nie na łące, lecz w lesie, gdzie wiatr słaby i gdzie w cieniu nie tworzy się taka gruba naledź[1]), jak na stepie...

— Na renach lepiej!... Tu mamy same skały, kamieniska i „tariny", aż do stacji Kiurelachskiej... Więcej niż 30 kios[2]). Trudny przejazd... A co gorzej, to, że Tojon nie ma ubrania do takiej jazdy!... — zauważył Aleksy.

Gospodarz pokręcił głową.

— Tak, Tojon źle się wybrał... Ale ja też nie mam zbywającego odzienia!...

— Wcale was o nie nie proszę!... — przerwałem. — Nie miałem czasu kupić w mieście!

— I nie było nic odpowiedniego. Nie wiesz, że tam same „fraki i paltoty!" — zwrócił się kozak pogardliwie do jakuta.

— A no wiem!... Ale mogę wam dać tylko skórę renifera za dwa ruble, lub pół cegły herbaty... Więcej nic nie mam!...

Kupiłem skórę za poradą kozaka i przespałem noc bardzo miękko i wygodnie, na dwóch skórach reniferowych.

W jurtach jakuckich, na pryczach pod ścianami śpi cała rodzina. Pośrodku przed kominem „na miejscu zaszczytnem", jak opisuje pieśń, znajduje się łożnica gospodarstwa, zawieszona zazwyczaj zasłoną z irchy lub taniej materji, u bogatych ozdobiona srebrnemi brzękadłami. Na prawo od niej mieści się męska połowa, gdzie sypiają przyjezdni, goście oraz dorośli synowie; na lewo — połowa kobieca, gdzie przebywają i sypiają kobiety, dziewczęta oraz dzieci. — Nad ranem obudził mię przejmujący chłód, gdyż ogień na kominie wygasł i przez szeroką jego gardziel wiała struga lodowatego powietrza. Chciałem poruszyć kozaka, który zawsze sypiał na sąsiedniej pryczy, aby dorzucił drew na ogień, ale go tam nie znalazłem, na zwykłem miejscu.

Widocznie niedarmo śpiewał sobie całą drogę miłosne piosenki!

Skulony pod zajęczą kołdrą, przeleżałem drzemiąc do chwili, kiedy z pod zasłony naprzeciwko wysunęła się półnaga piękność „podobna do faski masła" i rozniecila suty ogień. „Trójwargi" chrapał niewinnie na swojem posłaniu. Usnąłem i ja, ogrzany przyjemnem ciepłem.

— Niech pan wstaje, jeżeli mamy jechać!... Reny już są!... — budził mię Aleksy. — Ale taki tu lodowy kraj i taka „mołcz" dzisiaj zamieć, że nie wiem doprawdy, jak wyjedziemy... Ja bym tu został ze dwa dni, aż się uspokoi!...

— A jak się nie uspokoi tydzień!...

— To będziemy siedzieć tydzień!... Nie będzie nam tu źle!... — upewniał kozak. Miałem co do tego pewne wątpliwości, w dodatku ze względu na skromne moje środki, już mocno nadszarpnięte wczoraj kupnem skóry, oraz na bardzo niedostateczne zapasy naszej żywności, uważałem za wskazane nigdzie nie zatrzymywać się dłużej, niż wymagała konieczność.

— Cóż to nowego?... Sam mi mówiłeś, że należy się spieszyć, żeby nie zaskoczyła nas powódź...

— Kiedy taka zima się „dośpiała"!... Na niżach też pewnie ziąb... Od gór ciągnie...

— Nie, mój kochany, pojedziemy...

— Jak jedziemy, to jedziemy!... — mruknął z gniewną determinacją. — Niech pan wstaje!...

Spostrzegłem, że obwieszona srebrem piękność, gotująca ryby w ogromnym kotle na kominku, pilnie przysłuchuje się naszej rozmowie i zrozumiawszy ją z tonu, zamarła nagle bez ruchu, zapomniawszy nawet na chwilę oczyszczać pianę z zupy wielką warząchwią.

Nie wzruszyło mię to jednak, gdyż wiedziałem, jakiem niebezpieczeństwem grozi ta miłostka mojemu skarbcowi herbaty i tytoniu.

— Zatrzymasz się tutaj dłużej w drodze powrotnej!... — pocieszałem Aleksego.

— Czy człowiek wie, co jutro będzie?... odpowiedział. Ale poweselał.

Po obiedzie wyruszyliśmy, choć zamieć dalej szalała. Droga szła wąwozem, łożyskiem rzeki Dogdo, aż do „powarni", Elersiubjuk (Bitewnej). Niepodobna było zabłądzić, a do wichru i śniegu podróżnik rychło się tu przyzwyczaja. „Nart" (sań) zaprzężono nam cztery, do każdej parę tęgich renów i jednego za-

---

1) Naledź tworzy się na wiosnę pod działaniem ciepłych promieni słonecznych we dnie i zimna w nocy; często skorupa lodowa dochodzi takiej grubości, że utrzymuje na sobie człowieka, rena, nawet łosia.

2) Kios — 10 kilometrów.

pasowego. „Narty" mają bardzo lekki i elastyczny szkielet, ustawiony na płaskich, giętkich płozach z wysoko zadartemi nosami. Do nosów tych przymocowana jest półobręcz, która ochrania sanie od nagłych i silnych uderzeń o trafiające się na drodze przeszkody. Całe sanki związane są bez gwoździ za pomocą mocnych rzemieni i rozparzonych korzeni modrzewiu, tak, że najważniejsze części sań: nóżki i płozy nie pękają nawet od bardzo silnych wstrząśnień, które jedynie zrywają spoidła. Podobne uszkodzenia łatwo na *po*czekaniu każdy jakut i tunguz naprawia. Takie same sanie używane są do jazdy na psach i do takich sań wprzęgają nawet konie, gdyż stan dróg tutejszych nie pozwala na użycie innych pojazdów. Uprząż reniferowa składa się z dwóch skórzanych szlei, zakładanych na piersi i garb zwierzęcia. Długi rzemień od szlei jednego rena przechodzi pod brzuchem pomiędzy nogami zwierzęcia i zaczepiwszy za półkolisty bezpiecznik, idzie do szlei drugiego rena również pod brzuchem. Tak zaczepiona narta ślizga się zupełnie swobodnie po rzemieniu uprzęży, co pozwala jej płynąć i kołysać się, jak łódź na zaspach i nierównościach drogi bez szarpania i wstrzymywania biegu zwierząt. Zmusza również renifery do równego ciągu, gdyż skoro jeden z nich choć trochę zwolni, dostaje natychmiast pałąkiem bezpiecznika po nogach. W razie gdy „narta" pędząc zgóry zbyt już na reny najeżdża, te poprostu rozbiegają się na obie strony i zatrzymują w ten sposób nartę. Niema trudności z kierowaniem, gdyż w tych pustyniach drogi rzadko się rozwidlają; gdy jednak zachodzi potrzeba skierowania albo zatrzymania zwierząt, to przewodnik pokrzykuje na nie i straszy je, to z tej to z tamtej strony długim prętem, którego używa, jako bicza; wreszcie w ostateczności woźnica ciągnie mocno za długą, cienką lejcę, przymocowaną do wyszytego zwykle pięknie paciorkami namordnika prawego renifera. Ten renifer zazwyczaj jest silniejszy od swej pary i uważany, jak za przodownika. Bardzo silne pociągnięcie za lejcę zawraca rena w poprzek drogi i zatrzymuje „nartę". Cała jazda jest bardzo prosta, o wiele łatwiejsza i mniej męcząca, niż jazda na psach. Reny są głupie, nie rozumieją głosu ludzkiego, ale bardzo potulne, łagodne i nieskończenie cierpliwe... Biegną szybko do zupełnego wyczerpania sił, aż martwe, jak piorunem rażone, padają w zaprzęgu. Woźnica popędza je, lecz nie bije nigdy, gdyż dzięki swemu niezwykle grubemu, twardemu futru nie czułyby uderzeń, kole je więc kościanem ostrzem, nasadzonem na koniec pręta, który gnie się przy wzmachu, jak wąż, i uderza, jak skorpion żądłem.

Rzeczka Dogdo, o której tubylcy twierdzą, że niesie w swym piasku złoto, płynie kręto i burzliwie. To też masa na niej „tarinów". Jest to dziwne zjawisko, którego nie spotykałem nigdzie, oprócz górskich rzeczek dalekiej północy[3]). Polega na tem, że w pewnych miejscach ich koryta, zwykle tam, gdzie ono nagle zwęża się, zamknięte przez skały, tworzą się w zimie oparzeliska. I co dziwniejsze, że im mrozy są tęższe, tem oparzeliska większe i częstsze. W grudniu, styczniu i lutym są największe, ku wiośnie słabną, na jesieni ich wcale niema. Niema ich również na wielkich rzekach. Związane są więc bezwarunkowo z procesem „wymarzania" rzeczek. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że za kołem polarnem dookoła całego bieguna ziemia ma głębokości trzydzieści i więcej metrów przedstawia olbrzymi wieczny lodowiec, odmarzający na powierzchni w czasie krótkiego lata na parę zaledwie metrów, a na tundrach na parę stóp, to zrozumiemy, że zamarzanie jezior i rzek odbywa się tutaj zupełnie inaczej, niż u nas. Zaczyna się ono nie z powierzchni ale z dna. Skoro tylko promienie słońca przestaną silniej przygrzewać, z podziemnego lodowca wypływa zima. Ziemia poczyna nocami „dymić" zimną mgłą, a muliste dna jezior lub kamienne łożyska burzliwych rzek i rzeczek pokrywa lodowa sadź w kształcie ślicznych kryształowych igieł i listków, chwiejących się tam od poruszania wody, jak porost korali. W miarę zwycięstwa zimy, porosty te lodowe grubieją, tężeją, wreszcie ciężar ich gatunkowy mniejszy od wody zwycięża ich siłę przyczepną do dna, odrywają się i wypływają na powierzchnię w kształcie lodowej kaszy, jak tu mówią „sadła". Podmuchy wiatru pędzą ją ku brzegowi na jeziorach, gdzie tworzą szybko zwiększające się kołnierze lodu. Na rzekach bieg wody gromadzi „sadło" na zakrętach albo w skalistych węziznach, zwanych tu „szczoki". Na długo przed zamarznięciem rzeki tworzą się tam mosty lodowe, od czasu do czasu zrywane, mateczniki kier i pól lodowych, coraz gęściej płynących z wodą.

Coraz szybciej narastające na dnie „sadło", z przejmującym szmerem wypływa na powierzchnię, zamieniając ją w gęstą, lepką, dymiącą się lodową warstwę, aż wreszcie rzeki pokrywają się jednolitą, twardą powłoką — „stają". Jeziora już dawno zamarzły. Skorupa lodu szybko grubieje, lecz rzecz godna uwagi, nawet w najostrzejsze zimy, gdy temperatura powietrza sięga 67° C., grubość lodu na rzekach i jeziorach rzadko przewyższa 2 metry. Proces zamarzania widocznie zostaje wstrzymany przez utajony cieplik wody, ze wszech stron otoczony skorupą lodu. Rzeczki i jeziora przemarzają do dna tam tylko, gdzie wody tej jest zbyt mało. W większych odmętach odbywa się zacięta walka między żywą wodą i zimnem, od której zależy życie tysięcy ryb, żab oraz rozmaitych robaków, które kierowane instynktem, gromadzą się w tych głębinach na sen zimowy. Straszliwe zimnisko bezsłonecznych nocy i z powierzchni i zgłębi ziemi wysysa zwolna z wody zachowane jeszcze ciepło i dusi je w potężnym uścisku narastających zeń warstw lodu. Ponieważ lód ma znacznie większą objętość, niż woda, ciśnienie zamknięte w grubym, twardym pancerzu wzrasta do wielkiej potęgi. W górskich rzekach ciśnienie wzrasta jeszcze przez nacisk rezerwoarów wyżej położonych na dolne tajnemi kanalikami, podtrzymywanemi lub wyżłobionemi przez dążącą wdół wodę. Na rzekach wielkich oraz jeziorach ciśnienie wewnętrzne rozsadza lód, tworzy szczeliny lub poprostu tarcze lodowe wygina. Na rzeczkach niedużych powierzchnia pokrowca jest zbyt mała, aby chrupkość i twardość przemarzłego do 60° lodu podatna była do wygięcia, siła zaś ciśnienia stosunkowo w sumie zbyt nieznaczna, żeby rozsadzić metrową powłokę. Woda więc szuka innych dróg i „wypaca się" na powierzchnię lodu, jak w znanem doświadczeniu „wypaca się" na powierzchnię złotej kuli pod ciśnieniem prasy hydraulicznej. Tak powstają „tariny", niezmiernie niebezpieczne w zimie i trudne do przebycia dla podróżników.

(D. c. n.).

[3]) Ma ono miejsce podobno i w Klondyke w Ameryce podbiegunowej.

23)

BEZ SERCA.

Bez stempla hierarchicznego, bez nazwiska — flanuję na Quai Voltaire, wyszukując śród typków— Anatola France'a. Odgaduję, że ten w okularach z długiemi włosami, a może ten z siwą brodą (typ używany stale w pracowniach monachijskich malarzy za model do apostołów), lub ów, — to napewno on, lub ktoś w jego rodzaju. Bo to wszystko — to mniej lub więcej bliscy krewni specjalnie galijskiego esprit; a praojcem, królem jego i symbolem — to spiżowy na piedestale przed Akademją nieśmiertelnych — Voltaire, dłuta Houdon'a.

Nie mogę rozstać się z wyrazem twarzy tego grzesznego, mądrego starca, który rozumie wszystko, bo sam zna swoje własne winy. Nie przestanie mi nigdy imponować jego szczerość, uznawana pogardliwie za sceptycyzm. A zwątpienie, nie maskowane blagą i wygodną ugodowością, uważane jest za amoralność człowieka, dla którego niema nic świętego. Choć jedynie szczerość wypala zarodki gangreny. Tylko trzeźwość ocala od ślepego fanatyzmu. A obalanie nie jest o wiele łatwiejszem od budowy (jak przekonano się na Saskim placu).

Mijam pont des arts i plac du Carousel z cudnie harmonijnym jasno-różowym łukiem, skopjowanym z rzymskiego łuku Konstantyna. I zasiadam na ławce pod strażą marmurowych postaci śród kwietników, które aż krzyczą swojemi barwami, w jakie potrafi ubierać jedynie bajecznie złote słońce południa.

Niesposób jest być smutnym śród takich akcesorjów natury i sztuki. I choć nie mam zbyt wiele czasu wolnego do lekcji, wchodzę (aby zapić w szynku robaka nostalgji i tęsknoty) do świątyni cudów, Luwru.

Mijam pomnik Gambety i sunę monumentalnemi schodami, strzeżonemi przez niewypowiedzianie czarującą ze swemi rozpostartemi do lotu skrzydłami Nikę Samotracyjską, dla której można głowę utracić, choć ona sama niestety swoją oddawna utraciła.

Mijam moją ukochaną salę Apollina z pięknym plafonem największego z romantyków Delacroix i wyfruwam jakby z zapożyczonemi od Nike skrzydłami (tak jak ona — z zachwytu prawie już bez głowy) do sąsiedniego skarbca, zwanego: salon carré. Witam się uśmiechem z moimi znajomymi, ba, z moimi ukochanymi przyjaciółmi, którym tylokrotnie już w Paryżu zawdzięczałam zenit upojenia duchowego.

Honory gościnnej gospodyni — królowej salonu carré — pełni tu ze swoim ujmującym, jednakim dla wszystkich gości uśmiechem najczarowniejsza z czarownych, Monna Liza, córa Leonarda da Vinci. Pomaga jej w honorach domu podobna do niej, jak siostra, rodzona święta Anna, przechylona nad dzieciątkiem Madonny. Obok brat ich z tegoż samego Ojca Leonarda, Jan Chrzciciel. A obok tego dostojnego towarzystwa piorunuje grzeszników Jupiter, zawdzięczający tu swoje życie papie Paulowi Veroneze w sąsiedztwie Tycjanowskiego Chrystusa, cierniami koronowanego.

Dla zaimponowania snobom muszę zacytować trochę high-life'u, z jakim tu w tym salonie obcuję. Nie bagatela: Velazquezowska infantka Marja Margarita, Tycjanowski Alfons z Ferrary i Franciszek I-y. A jakże! I La belle jardinière Rafaela. Tylko tyle.

Czyż jest na świecie salon, który takiem towarzystwem poszczycić się może? I jak wobec niego wyglądają rauty i bale w zwykłych salonach z zapełniającymi je zwykłymi zjadaczami chleba, raczące się złością, zawiścią i plotkami?

I spieszę, aby naprędce złożyć choć kilka króciutkich wizyt sąsiadom z zupełnie innej parafji, gentlemanom o kilkaset lat starszym: Św. Tomaszowi Benozza Gozzoli i kilku madonnom Fra-Angelica da Fiesole i Boticella. Patrzę na zegarek. Nie, nie. Jeszcze choć pół godziny tu zabawię.

Muszę choć okiem rzucić i przywitać się z moimi kochankami, etranżerami z mniejszości narodowych: z Erazmem Roterdamskim Hansa Holbeina, z Karolem I-ym i z jego dziećmi Van Dycka. No i trochę proletarjatu: Cyganka Franza Halsa i tegoż genjusza portret jakiegoś filozofa, podobno Descarta. I Ter Borgha jakieś żołnierskie umizgi i Gabriela Metsu jakiś targ jarzyn...

Lecz jestem dobrze wychowaną: Nie mogę wynieść się stąd po angielsku, nie podziękowawszy za tę ucztę królewską państwu gospodarzom, Francuzom. Ta grzeczność przyjdzie mi tem łatwiej, że, mówiąc krótko, za nimi przepadam. Składam im tu bardzo częste wizyty, jak również i zamieszkałym w Luksemburgu młodszym nieboszczykom zarówno, jak i najmłodszym żywym sławom z Petit Palais i kandydatom na nieśmiertelność z dorocznych salonów Grand Palais.

Jestem donną mobile i, zapominając o minionych zachwytach, w tej chwili sądzę, że najbliżsi memu sercu są ci starzy francuzi z Luwru. Bo jak można nie kochać pana Hjacynta Rigaud i jego Bossueta lub Ludwika XIV-go z całym ich chłodem i pompą epoki du Roi Soleil? Jak nie delektować się naiwną szczerością de - Largiljera, który w swoim autoportrecie z rodziną doprowadził sztuczność pompy i pozy do mimowolnej rozbrajającej przedrewolucyjnej śmieszności? A wiek XVIII-y: Vatteaux, Lancret, Fragonard, David, Nattier, Chardin, Vigée-Le Brun i de La Tour?

A początek zeszłego stulecia z rzeźbiarzami: Mercié, Carpeau, Falguere i Fremiet? O! Nike! O! Moja głowo!

Uciekam z salonu, bo maitre Moussin na mnie czeka. I kończę te zwierzenia, aby z memi zachwytami nie stać się nudną, jak egzaltowana pensjonarka. Nudna artystka. Chryste! To gorzej, niż bez głowy; a poczciwy maitre Moussin twierdzi, że liczy najbardziej na wielki mój atut: wdzięk interpretacji. Oby się nie mylił!

X.

Paryż.
Rue de Seine.

20 Marca 1888 r.

Już minęło dawno pół roku od czasu, kiedy opuściłam Warszawę. Powinnabym Ci być wdzięczną za delikatność, z jaką zamilczasz o obiecanym Ci terminie mego powrotu do domu. Powinnam być również wdzięczną, że twoje listy, w których wymawiałam Ci ongi twoje egoistyczne żale, odbierające mi wytrwałość i siły — są teraz coraz rzadsze i znacznie spokojniejsze. Byłoby to z mej strony szczytem kobiecej

niekonsekwencji — gdybym z powodu spełnienia moich żądań — czyniła obecnie wymówki, że listy twoje są teraz zbyt rzadkie i zbyt spokojne, co denerwuje mnie może jeszcze stokroć bardziej.

Bo pomyśl nieco o mojem obecnem życiu: Piszę ten list przy dwóch kopcących świecach, otaczających zepsuty zegar na wygasłym już kominku.

O! Ten paryski stary komfort kultury, tak dawnej, że nikt sobie nic z niej nie robi! To nie Berlin, podkreślający, jak za posedańskie miljardy stał się kulturalnym i jak ta nowa kultura go jeszcze bawi! W Paryżu wprawdzie najostatniejszy nędzarz musi posiadać dywan, bo tak już od wieków jest przyzwyczajony; lecz ten dywan jest brudny, wytarty i świeci strzępami i dziurami. Jest ogólnie od wieków tu przyjętem, że każdy kominek w 10-rzędnym hoteliku musi posiadać zegar; lecz żaden z tych zegarów od wieków godzin nie wskazuje.

Poza koniecznym dywanem i zegarem dystyngowany stary Paryż pogardza windami, kaloryferami i zawieszanemi objaśnieniami i zarządzeniami, po której stronie na ulicy się chodzi, a z muzeów wychodzi i t. d. I woli swoje stare omnibusy od elektrycznych tramwai.

A faktem, że te wystrzępione stare dywany, te przedpotopowe trzykonne z imperjalami omnibusy potłuczone w mansardowych bieliźniarkach lustra mają stokroć więcej uroku od z igły zdjętego komfortu Berlina, zakupionego jednym tchem za posedańskie miljardy.

A w moim apartamencie, wychodzącym na dachy paryskie, staje mi nieraz w mgłach wspomnień quasi estetyczna dama warszawska, pani dyrektorowa Knoffowa, wylegująca na perłowym adamaszkowym szezlongu w swoim buduarze, w którym brakowało jej ptasiego mleka! I naraz ta karykaturalna warszawska filisterka zapytuje tę tułającą się z własnej woli na obczyźnie adeptkę sztuki panią Heleni:

— Droga przyjaciółko, czyś nie popełniła przypadkiem kapitalnego głupstwa? Nęcąca cię sława, miłość sztuki, pracy, swobody czy to nie są przypadkiem gruszki na wierzbie, kanarki na dachu?

Ludzka pomyłka byłaby jeszcze większą tragedją, niż dobrowolny powrót ptaka do klatki. Bo ptak przynajmniej tej swojej słabości nie wstydzi się. A człowiek ma ambicję bardzo despotyczną i woli już na swobodzie zginąć, niż przyznać się do pomyłki lub do słabości.

Precz, precz, ty próżniaczko, papugo, marjonetko, bez woli, charakteru. Precz zmoro, przypominająca mi wciąż, że dziecka nie opuszcza się. Precz, burżujko, filisterko bez polotu!

Lecz ta baba, zmora, którą pogardzam, nie ma za grosz ambicji i schodzi z mgieł wspomnień coraz częściej do mojej samotnej zimnej mansardy, choć nie przyjmuję jej zbyt gościnnie i bronię się przed jej płytką małomieszczańską paplaniną i płaską szablonową logiką, jak przed najgroźniejszym szatanem. Precz, precz...

Bo w takiej norze dopiero, w mansardzie przy migających 2-ch świecach żyje się: Na stoliku mam rozłożoną wielotomową bibljotekę „de l'enseignement des arts". Studjuję z niej na twardym stołku historję, teorję i krytykę malarstwa, rzeźby, architektury i muzyki. O ile lepiej, gruntowniej i głębiej, w świetle 2-ch kopcących się świec, niż na szezlongu z perłowego adamaszku pod jedwabnemi ażurami. I myślą przypatruję się tej zamarłej lalce warszawskiej, którą pogardzam tak, jak wszystkie zdeklasowane proletarjatki, które się wykoleiły... (D. c. n.).

Z ruchu wydawniczego.

„Z DZIEJÓW INSUREKCJI 1794 R."

Pięć nowych przyczynków do zrozumienia insurekcji Kościuszkowskiej ogłosił drukiem Adam Skałkowski w książce zatytułowanej „Z dziejów insurekcji 1794 r." Na publikację tę złożyły się prace charakteru archiwalnego, jak „Legenda o broni insurekcyjnej", „Obrona Narwi w r. 1794", „Uczestnicy walk o oswobodzenie Warszawy". Nowe ujęcia daje rozprawka pt. „Stanisław August wobec powstania" oraz źródłowa analiza słynnego, przypisywanego Kościuszce powiedzenia: „Finis Poloniae".

Przyczynki te mogą zainteresować nietylko historyków, choć niezawsze dotykają zagadnień, mogących pociągnąć szersze koła inteligencji. Każdego polaka zaciekawi rozprawka o Stanisławie Auguście i jego roli w powstaniu. Dotychczas powszechnie mniema się, iż król zachowywał się małodusznie. Ludność stolicy była, podobno, całkowicie wrogo względem króla usposobiona. Z dociekań p. A. Skałkowskiego wynika, iż naogół stosunek układał się w innych kategorjach. Istniały żywioły gorące, nieposkromione. Śpiewano nawet: „My, krakowiacy, nosim guz u pasa, powiesim sobie króla i prymasa". Król nie wierzył w powodzenie powstania. P. A. Skałkowski sądzi, iż „niewiarę tę dzielą (z królem) prawie wszyscy, co są ludźmi głowy, a nie samego tylko serca". Z tej racji pospólstwo warszawskie nie chce wypuścić króla z Zamku. Stanisław August przyda się jeszcze na wypadek pertraktacji z moskalami. Nastąpiło to po rzezi Pragi. Kościuszko odnosił się do monarchy z należnym szacunkiem. Kiliński staje się niepopularny wśród czerwonego pospólstwa z powodu swoich stosunków z dworem.

Prof. A. Skałkowski stwierdził również, iż powiedzenie „Finis Poloniae" zostało przez prusaków wymyślone i rozpowszechnione. Ukazało się ono w „Südpreussische Zeitung" w Nr. 25 z d. 25 października 1794 r. Prusakom zależało na tego rodzaju oświetleniu sprawy. Leżało to w ich interesie. Chytrze kombinowali, że wypromują się na obrońców Polski przed gniewem moskiewskim. Głupstwo to urosło później do niesłychanych rozmiarów! Prusacy zrobili z wymysłu tego argument przeciw nam.

Przyczynki p. A. Skałkowskiego przynoszą wiadomość o zachowaniu się żydów podczas powstania. Ciekawą jest część poświęcona Berkowi Joselewiczowi.

*

WILNO — ŻEROMSKIEMU.

Pięknie uczciło Wilno pamięć twórcy „Walgierza Udałego". Odezwały się żywe, bólem przepojone żale nad trumną wielkiego dostojnika słowa. Był to wyraz wszystkich kulturalnych sił, skupionych w prastarym nadwilejskim grodzie. Jako pamiątkę tych smutnych chwil wydano teraz cenną książkę, w której zebrano wszystkie żałobne głosy. W uroczystości brali udział pp. Witold Hulewicz, Marjan Zdziechowski, K. Kolbuszewski, T. Łopalewski, M. Limanowski oraz zespół teatru Reduta. Przemówienie prof. Zdziechowskiego przynosi wiele ciekawych uwag, rozświetlających drogi twórczości śp. Stefana Żeromskiego. Piękny jest okolicznościowy wiersz p. T. Łopalewskiego. Sprawozdanie p. t. „Jak Wilno czciło Żeromskiego" zamieściła p. Helena Romer-Ochenkowska.

Książka „Wilno—Żeromskiemu" jest bardzo miłym objawem kultury.

*

„NADOBNA PASKWALINA".

„Nadobna Paskwalina" Samuela ze Skrzypnej Twardowskiego przypomina się inteligentnemu miłośnikowi literatury naszej przez nową edycję, sporządzoną przez prof. Romana Pollaka. Utwór ten wydano dla użytku szkolnego. Warto jednak przypomnieć sobie ten poemat choćby ze względów na słowiennictwo. Samuel ze Skrzypnej Twardowski pisał w wieku baroka. Słowo jego ugina się od ornamentyki, a budowa wiersza rozpływa się w frazeologji. Stać go jednak i na ekspresję. Opowieść o Paskwalinie jest prototypem teraźniejszego romansu. Samuel Twardowski zasługuje na uwagę jeszcze i z tego względu, że twórczość swoją traktował jako zawód i posłannictwo. Jest to literat siedemnastego wieku! Inni pisarze traktowali swoją twórczość przygodnie.

„Nadobna Paskwalina" ma być parafrazą hiszpańskiego oryginału. Nie ustalono jednak dotychczas pochodzenia. Wydanie dr. Pollaka jest bardzo staranne. Poprzedził je wydawca treściwym wstępem.